

Jules Rosni sen.

Trucicielka.

Dzieciństwo moje i młodość — opowiada galer-nik — niewiele mi zostawiły przyjemnych wspomnień. Jako pięcioletnie dziecko dostałem się pod opiekę macochy, która morzyła mnie głodem i za skromne porcy chleba i zupy kazała mi płacić potrójnymi porcjami policzków, szturchańców i pięści, wymierzanych mi przez nią co chwilę. W czternastym roku zacząłem już sam zarabiać na siebie. Oddano mnie do kupca kolonialnego, starego pijanicy, na posyłki. Lotr nie oszczędzał moich nóg. Później próbowałem rozmaitych lecz zawsze jednakowo mało zyskownych zawodów. Byłem pakowaczem, tragarzem, roznosicielem gazet. Umierałem z głodu jak pies bezpański, i w dodatku okrutnie oszukiwała mnie kobieta, którą kochałem nad życie.

W dwudziestym siódmym roku życia, straciwszy mizerną posadę w Lyonie, wybrałem się do Paryża, piechotą. Było to jesienią. Zaraz w drugim dniu mej podróży pogoda stała się okropną i musiałem całymi długimi godzinami wlec się wśród wichru i deszczu. W niektóre wieczory udawało mi się: zagrodek jaki udzielał mi ze swej wieszki talerz zupy, dawał kąć w stodole na słomie lub sianie. Ale przeważnie spędzałem noce pod gołym niebem i szczekałem zębami. Rozmyślania moje o bliźnich były, naturalnie, niezbyt pochlebne dla nich treści. Naczytałem się dość różnych książeczek i broszur — zawsze lubilem czytać — i używałem sobie, gromiłem społeczeństwo górnobrzmiącymi frazesami. To przynosiło mi pewną ulgę, ale oczywiście mało polepszało moją dolę.

W szóstym dniu podróży dwaj żandarmi areztowali mnie w kartoflisku, gdzie spędziłem noc. Oświadczyli mi, że jestem mordercą i poprowadzili pod bagnety do najbliższego miasta. Tam sędzia śledczy zaczął wyciskać mnie pytaniami i badaniami jak cytrynę, aż dowiódł mi niezbicie, że zamordowałem niejakiego Becquette, który mieszkał samotnie w swym małym domku opodal wsi Monnetterre.

Jakaś stara baba zapewniała, że widziała mnie o godzinie, kiedy dokonana została zbrodnia, kryjącego się za plotem. Parobek z sąsiedniej zagrody nie zupełnie poznawał moją twarz, ale przysięgał, że morderca miał taką samą brodę, jak moja, i tak samo był ubrany. Alibi swego, naturalnie, nocując w polu, wykazać nie mogłem; protestowałem więc napróżno. I ponieważ nie mogłem dowieść, że jestem niewinny, więc sądzono mnie o zbrodni morderstwa. W ciągu całych trzech godzin prokurator dowodził mej zbrodniczości, a mój obrońca przez całą godzinę przytaczał dowody mej niewinności. Pewną wątpliwość udało się jednak adwokatowi zasiał w mózgach przysięgłych. Uznano mnie winnym, ale... „z uwzględnieniem okoliczności łagodzących“.

Następnie przewodniczący trybunału oświadczył mi, że jestem skazany na dożywotnie ciężkie roboty. Byłem tem wszystkim nietylko oburzony, ile zaskoczony i przybity. Po tylu klęskach mogłem naturalnie znieść i ten, najsilniejszy cios... Pomimo to próbowałem jeszcze protestować, choć dla formy; potem machnąłem ręką. Wywieziono mnie więc w towarzystwie ojcobójców i innych podobnych zbrodniarzy. Myślałem, że zaczęły się dla mnie dni jeszcze

cięższe, niż te, kiedy co chwilę czułem nad sobą pięść macochy. Omyliłem się. Więzienie w zesłaniu od pierwszych zaraz dni okazało się znacznie przyjemniejszym, niż moje dawne życie na wolności. Braku pracy obawiać się nie miałem powodu; pożywienie miałem zabezpieczone. Porcy były z początku skąpe i jałowe; ale dozorczy więzienni okazali mi mniej pogardy, niż jej doznawałem od ludzi, z którymi stykałem się na wolności. Widzieli już oni wszelkiego rodzaju ludzi podczas swego urzędowania — przyzwyczaili się. Dzięki mojej potulności i zamilowania porządku miałem dobrą markę u przełożonych; praca pozwalała mi na pewne dodatki i urozmaicenie pożywienia, a sprawowanie się przyniosło mi nawet zupełnie nieoczekiwane ulgi. Żyłem w dostatku, jakiego nigdy nie zaznałem i nie kosztowało mnie to żadnych nadzwyczajnych trudów.

Po upływie dłuższego czasu osiągnąłem szczyt tego, o czym może marzyć galer-nik; wydzielono mi kawałek gruntu i pozwolono założyć mały sklepik artykułów spożywczych. Interesa moje poszły do brze i jednego mi tylko brakowało: żony.

Z początku nie myślałem o tem; pierwsze moje przygody miłosne zostawiły mi zbyt przykre wspomnienia. Ale po pewnym czasie młodość zażądała swoich praw; zacząłem upatrywać sobie żony. Nie było to jednak łatwe: kobiet było mało, a i te, które były, napelniały mnie tylko wstrętem i trwogą.

Jedne były brodate, jak starzy marynarze, drugie ohydnie brzydkie, a wszystkie podejrzone, straszne. Pogodziłem się ze swoim stanowiskiem. W największej nędzy nie ukradłem nikomu ani centa. I kobieta-morderczyni, zbrodniarka, nie mogła, rzecz jasna, budzić we mnie zachwytu. Pozostawiłem innym ubieganie się o serce czarownicy, która usmarzyła całą rodzinę, przyjemnej damy, która miała na sumieniu śmierć kilku sierót. Wreszcie ukazała się na scenie trucicielka.

Była to piękna kobieta ze wspaniałą grzywą czarnych włosów, z białymi, ostremi, jak u wilczycy zębami, wysoka, tęga. Jej pozostawało jeszcze piętnaście lat kary i ona zasługiwała na to w zupełności. Ona nie tylko otrulią swoją przyrodną siostrę, ale zrobiła to z premedytacją i z chęci zysku. — Prawda, że grała tu rolę i chęć zemsty; tamta starała się podstępnie pozbawić ją spadku. Trucicielka miała wielki wybór konkurentów. Kilku głośnych bandytów zapalczywie starało się o jej względy i tylko trudność porozumiewania się między galer-nikami miarkowała te konkury. Ale trucicielka odrzuciła wszystkich. Z początku i ja nie byłem szczęśliwszy od innych. Moje namienne spojrzenia nie mogły pokonać jej obojętności. Stopniowo — zakochałem się w niej poprostu. Obraz jej stał mi w oczach dniem i nocą. Usychałem z miłości — do zbrodniarki. A moje oświadczenia zostawiła ona bez odpowiedzi.

Pewnego razu moje manewry w połączeniu ze szczęśliwym przypadkiem pozwoliły nam się zetknąć osobiście. Nie można było tracić czasu. Po raz ostatni zaproponowałem jej wyjście za mnie za męża. Trucicielka spuściła głowę i spojrzała na mnie z po-dełba swemi wielkimi, zielonemi jak u kota oczami:

— Nie chcę wychodzić za mordercę — odpowiedziała brutalnie.

— Jestem uczciwym człowiekiem — wykrzyknąłem oburzony. — Nigdy nie wyrządziłem bliźniemu żadnej krzywdy.

— Niewinny, tak, tak, jak wszyscy — odpowiedziała drwiąco.

— Zupełnie niewinny — potwierdziłem poważnie i z przejęciem.

Trucicielka długo, badawczo, z niedowierzaniem i ciekawością popatrzyła na mnie i odeszła w milczeniu. Ale w kilka dni potem sama już postarała się o to, żebyśmy się spotkali. I natychmiast zapytała:

— To nie łgarstwo?

— Co?

— To, co mi pan powiedział o swej niewinności.

— To święta prawda!

— Szkoda — zamruczała trucicielka. — Pan mi się spodobał. Ale ja chcę wyjść za męża tylko za mordercę...

Ostąpiłem ze zdumienia.

— Ja powiedziałam panu onegdaj co innego — ciągnęła ona dalej. — To tak, zażartowałam sobie. No, cóż... pan pomimo tego jest niewinny?

Gotów już byłem uznać się za zbrodniarza. Ale po wszystkim, com przecierpiał, i pomimo to, że, jak mi się zdawało, nie dbałem już o opinię ludzką, nie mogłem w tej decydującej chwili sam potwierdzić wyroku sądowego. Pomilczałem przez chwilę i kierowany jakąś wyższą odemnie siłą oświadczyłem:

— Trudno, tem gorzej dla mnie! Nigdy nikogo nie zabiłem i nie okradłem.

Trucicielka roześmiała się chrypliwie i ponuro:

— Nie tak, jak ja!

I, nagle zmieniając ton głosu, dodała:

— Więc to prawda, że pan mnie kocha?

Oczy jej płonęły dziwnym blaskiem, co powinno było mnie przestraszyć. Ale miłość nie zna ostrożności.

— Kocham! — odpowiedziałem.

— Niech się pan strzeże! — ciągnęła trucicielka. — Niech pan pomyśli dobrze o tem, co ja zrobiłam przedtem... Przecież będziemy musieli dnie i noce spędzać razem...

Ruszyłem tylko ramionami... Byłem podobny do rozbójnika morskiego, który, wiedząc dobrze, że co chwilę ryzykuje życie i będąc już nawet bogatym, pomimo wszystko rzuca się w niebezpieczeństwo, pociągany przez tajemniczą siłę żądzy przygód.

Przeszło już dziesięć lat, jak jestem żonaty z trucicielką. Przyznam się, że z początku często spoglądałem z obawą i niedowierzaniem na jej ręce. Ale po przyjeździe na świat naszego pierwszego syna uspokoiłem się. Później porodziła mi ona jeszcze trzech malców — tęgich, zdrowych chłopaków... Pan zrozumie teraz, dlaczego nie staram się i wcale nie chcę, aby mnie zrehabilitowano, dochodzono mej niewinności. Z Europy mam tylko okropne wspomnienia — tam cierpiałem nędzę, poznałem rozpacz i zdradę. Tutaj mam dostatek, pewność jutra, wierne przywiązanie, radości rodzinne. Tutaj mnie szanują, albo prawie szanują. I mam dążyć do powrotu tam, gdzie dzieciństwo i młodość moja były jedną ciągłą torturą?... Ach, nie, nigdy, wolę, niech mnie raczej w dalszym ciągu uważają za zbrodniarza!...

K O N I E C.



Biomalz

jest najprzedniejszy, najsmakowitszy i przytem tani spożywczy i wzmacniający środek dla wszystkich, którzy wzmocnienia i orzeźwienia potrzebują. — W Niemczech najbardziej ulubiony i rozszerzony z wszystkich środków wzmacniających. Puszka K 1-30 i 2-50 do nabycia w aptekach i drogueryach.